

RAYNOR WINN  
DZIKA  
CISZA

Przełożyła Kamila Sławinski

MARGINESY

*The Wild Silence*

Original English language edition first published by  
Penguin Book Ltd, London

TEXT COPYRIGHT © Raynor Winn 2020

The author has asserted her moral rights

All rights reserved

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Kamila Slawinski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

*Dla ekipy*

## i. Zawsze ziemia

By ptak mógł wzlecieć, wpierw musi pęknąć skorupka.

Alfred Tennyson, *The Promise of May*

Słyszę głos, ale nie wiem, co mówi.

Gdzieś głęboko w mojej głowie,

hałas pomiędzy szumem krwi płynącej w żyłach

a elektrycznym trzaskiem, dźwięk, a może raczej

uczucie?

Ciemny i niski głos jak poszum słów

z dziesiątków gardeł albo bębnienie werbla

zgrane z tupotem stóp na twardej ziemi,

albo jeden ptasi krzyk

długi i niski o zmierzchu

gdy światło zapada za kontur gór,

a świat

okrywa melancholia błękitu.

## I. Ku ziemi

Przed świtem w Nowy Rok powinnam, jak reszta kraju, spać we własnym łóżku, a nie siedzieć na lodowatej skale na szczycie klifu. Gdy jednak otworzyłam oczy w ciemności zimowej nocy, poczułam podniecenie, identyczne z tym, które od miesięcy nie dawało mi spać, usłyszałam te same głosy w głowie i musiałam wyruszyć...

...przez zamknięte, wąskie uliczki miasteczka Polruan\*, gdzie wszyscy pozaciągali firanki i zapadła senna cisza. Zniknęli roz hulani imprezowicze, fajerwerki i zgiełk poprzedniej nocy. Powróciły ciemność i cisza, przerywane jedynie kręgami świateł z ulicznych latarni i poczuciem bliskości płynącej rzeki, szerokiej i głębokiej blisko ujścia, spychanej z powrotem w stronę lądu przez siłę przyływu, który rozbijał jej powierzchnię na tysiąc odbitych światełek. U ujścia szybkiego nurtu przycumowano tylko jedną łódkę, jej dziób naciągał łańcuch kotwicy, rufa podskakiwała na wodzie rytmicznie, jak rybi ogon. Wysłałam dalej niż najdalej położone domostwa i jeszcze dalej, na otwartą przestrzeń. Nie potrzebowałam latarki; znałam ten szlak już tak dobrze, że nawet w ciemności stopy znajdowały prowadzącą przez ubitą ziemię ledwie półmetrowej szerokości ścieżkę, która wiodła przez ja-

\* Małe miasteczko rybackie w Kornwalii, położone blisko ostatniego, najbardziej wysuniętego na zachód cypla Półwyspu Kornwalijskiego. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

nowce i skały, dalej po stromych, wykutych w skale stopniach wzdłuż brzegu urwiska aż do morza, którego fale załamywały się poniżej, na krawędzi czarnej ściany klifu. Jeszcze dalej, pod pochyłym głogiem, powyginanym i wykrzywionym przez wiatr, ocieniającym ziemię poniżej. Potem w górę, po chropawej, nierównej nawierzchni, na której ledwo widziałam własne stopy; wreszcie przez wrota, za którymi grunt spłaszcza się, a wiatr wzmaga. Nie mogłam widzieć ścieżki, ale wiedziałam, że tam jest. Czulałam, jak wybrzeże przyciąga mnie z obu stron. Rozłożyłam szeroko ramiona i wtopiłam się w niewidzialne, ale dobrze znane skaliste kształty. Wydychane powietrze stało się wiatrem; ja także.

Maszerując przez pole, gdzie owce wydeptały trawę do gołej ziemi, próbując schronić się przed żywiołami, za szlakiem wybrzeża znalazłam małą skałę, otoczoną łukami krzewów janowca. Idealne miejsce, żeby zatrzymać się i usiąść. Uczucie ekscytacji, które do tej pory wypełniało ciało, przygasło; pozwoliłam mu odejść, ulegając fali wyczerpania. Ciemność była gęsta i nieprzenikniona, ale powietrze syczało ponad głową, w gałęziach janowca, niosąc kwaśnawy zapach zbutwiałych liści; ziemia wibrowała w rytm ciężaru morskich fal bijących o klif. Zwinęłam się w kłębek, zaciągnęłam kaptur kurtki na okrytą czapką głowę, wsunęłam urękawiczone dłonie pod pachy; myśli wreszcie odpłynęły, rozwiały się w dziwnym czarnym powietrzu. Żadnych głosów w głowie, tylko cisza. Nie mogłam już dłużej myśleć, jedynie czuć. Podałam się senności, wiodącej w głęboki sen, krótki, ale przynoszący kompletne zapomnienie.

Nieznaczny blask światła przerwał ciemność, przenosząc mnie ponownie do obolałego, skurczonego ciała, ale ani drgnęłam; trwałam nadal zwinięta w kłębek, szczelnie opatulone ciało trzymało się odrobiny dostępnego ciepła. Przez sza-

rość nad głową prześlizgnął się ciemny kształt: mocny ogon i długie, rozłożyste skrzydła leciutko przechylały się z wiatrem, gdy ptak zanurkował poniżej krawędzi klifu i zniknął mi z oczu. Wpatrywałam się w jaśniejące niebo, czekałam, aż ptak wróci, nie mrugałam, by go nie przegapić. Głowa rozboleła mnie od wysiłku, uwaga dryfowała w stronę horyzontu, gdzie zaczynały się pojawiać pierwsze promienie złocistego światła, które przez moment błyszczało jasną cudownością, by zaraz zniknąć za kurtyną ulewnego deszczu, padającego gdzieś nad pełnym morzem. Ptak bezgłośnie wzbił się w górę, bez wysiłku ulatując w niebo, i zawisł nad pokrytym zaroślami półwyspem. Jego ciemny grzbiet i czarne krawędzie skrzydeł niemal zlały się z dolną partią nieba; jedynie błysk bieli nad ogonem pozwalał rozpoznać, że to błotniak stawowy, z nadzieją wypatrujący śniadania.

Wyprostowałam się, czując tępy ból w biodrach, i wczołgałam spod janowców w samą porę, by zobaczyć borsuka, który zszedł z nadmorskiego szlaku i wspinał się przez pola w stronę zarośli, wzdłuż widocznego w oddali ogrodzenia. Jego krótkie, krępe łapy poruszały się szybko po kępkach nierównej trawy. Zwierzak wychynął z nory wiedziony głodem, ale światło zastało go na powierzchni, gdzie przebywał zbyt długo, spowolniony jeszcze po zimowym śnie, a teraz musiał wrócić głęboko pod ziemię, do bezpiecznego, ciepłego i ukrytego przed wzrokiem intruzów legowiska. Przed wejściem do nory zatrzymał się na moment, rozejrzał dokoła, badając woń powietrza. Potem zniknął, wślizgnął się w swój bezpieczny, niewidoczny świat. Ku ziemi.

W bladym, siwym promieniu światła wspierałam się na najdalej wysuniętą skałę i usiadłam, zwieszając nogi za krawędź klifu. Tu kończył się ląd, a zaczynało morze. Siedziałam tak, w przestrzeni pomiędzy światami, w czasie pomiędzy latami,



w życiu pomiędzy żywotami. Zgubiłam się, ale tutaj odnalazłam, przynajmniej na chwilę.

Wróciłam przez miasteczko, nadal pogrążone w ciszy i bezruchu. W leżącej na przeciwległym brzegu rzeki miejscowości Fowey w kilku oknach zapaliły się światła. Zaspani mieszkańcy robili kawę, podkręcali ogrzewanie i wracali do łóżek. Powędrowałam jednopasmowymi uliczkami w kierunku górującej nad okolicą wielkiej bryle kaplicy, przeszłam przez żelazną bramę i podążyłam wybetonowanym korytarzem pomiędzy budynkiem a ścianą klifu. Dalej, przez drzwi do wąskiego mieszkania, które mieściło się na zapleczu. Zimno wgryzło się w moje kości, całe ciało bolało. Czułam jednak, że znalazłam zrozumienie, jakiego poszukiwałam, odkąd po raz pierwszy przybyliśmy do kaplicy, odkąd po raz pierwszy przekroczyliśmy próg. Tego dnia zakończyliśmy liczącą tysiąc czternaście kilometrów wędrówkę, złożyliśmy plecaki na gołej podłodze, rozsznurowaliśmy zabłocone buty i zaczęliśmy próbować odkryć na nowo, jak mieszka się pod dachem. Wydawało mi się, że nareszcie wiem, dlaczego wciąż czułam niepokój, dlaczego nie mogłam spać. Zrobiłam herbatę i zaniósłam ją na górę do Motha, mojego męża, kochanka i przyjaciela od ponad trzydziestu lat.

Leżał na materacu w sypialni z rozłożonymi szeroko nogami i ramionami; nie zbudziło go nawet coraz jaśniejsze światło dnia, które wpadało przez witrażowe okno. Chyba nic go nie budziło; potrafił spać dwanaście godzin na dobę i wciąż brakowało mu snu. Potrząsnęłam nim jednak i obudził się, by zacząć dzień jak zwykle, od herbaty z dwoma herbatnikami.

- Moth, obudź się, muszę coś zrobić.
- Co? Co ty... dlaczego jesteś ubrana?
- Nie mogłam spać.

– Znowu?

– No wiem... strasznie jestem zmęczona, ale muszę coś zrobić.

Po zepchnięciu piankowego materaca w róg pokoju, w stronę kartonowej szafy, w której wisiały nasze ubrania, na pokrytej linoleum podłodze otwierała się duża wolna przestrzeń. Z przeciwległego kąta wyciągnęliśmy zielony tobołek, rozpięliśmy suwak i wytrząsnęliśmy z wnętrza torby znajomy zwitek nylonu. Gdy rozwinęliśmy namiot, uderzył mnie zapach wilgoci i piasku, wiatru, deszczu oraz przesiąkniętego ozonową świeżością, pełnego mew powietrza. Czułam się, jakbym znalazła się pośród dzikiej natury, na ziemi we wszystkich odcieniach czerwieni, czerni i brązu, w wilgotnym, pełnym mchów lesie, w głęboko ukrytych dolinach.

– Rób, co chcesz, ale ja tam ciągle będę spać na materacu. Zaczynam się na nowo przyzwyczajać do komfortu.

– Dobrze, ale ja muszę spróbować. Dłużej nie dam rady bez snu.

Z rosnącym oczekiwaniem złożyłam sklezione taśmą maszty namiotu; z kliknięciem wskoczyły na właściwą pozycję i zielona kopuła nabrała kształtu. Gdy wpełzłam w stworzoną przez nią, pachnącą wilgocią przestrzeń, ogarnęła mnie fala radości. Moth poszedł zrobić jeszcze jedną herbatę, a ja przywlekłam do środka namiotu stare, mocno już zużyte nadmuchiwane materace i śpiwory oraz ściągniętą z łóżka poduszkę. Wróciłam. O to chodziło. Twarz zapadła w poduszkę, świat odpłynął, a mnie pochłonął sen, jak przypływ głębokiej ulgi. Ku ziemi.

## 2. Niewidzialna

Mało kto spośród studentów, bez entuzjazmu wracających na uczelnię po świętach Bożego Narodzenia, jest dobrze po pięćdziesiątce i zaczyna zapominać równie szybko, jak się uczy. Staliśmy w kuchenno-salonowej części kaplicy, odhaczając kolejne punkty z codziennej listy, zanim mój mąż wyruszy na uniwersytet, gdzie spędzał resztę dnia. Telefon, portfel, okulary – są; kluczyki od furgonetki, są; notes z listą rzeczy do zrobienia tego dnia, jest.

– To do wieczora.

– Tak, do zobaczenia.

I poszedł, ale ja wciąż słyszałam odgłos jego nierównych kroków, oddalających się wzdłuż ściany kaplicy w matowym świetle zimowego poranka. Zamknęłam drzwi i znów znalazłam się w przypominającym korytarz wąskim długim mieszkaniu. Usiadłam przy stole z kubkiem herbaty i myślałam o dniu, który właśnie się zaczynał. Czekaając, aż kromki pieczywa wyskoczą z tostera, patrzyłam na półki z książkami w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby mi opóźnić moment, gdy otworzę laptopa i spędzę całe godziny na frustrujących poszukiwaniach pracodawcy, który mógłby zatrudnić pozbawioną kwalifikacji pięćdziesięcioparoletnią kobietę bez żadnej historii zatrudnienia. Na półce stało kilka przypadkowych książek wyjętych z pudła, w którym przetrwały przeprowadzkę. Ledwie parę tomów, spakowanych w kilka go-

dzin, zanim opuściliśmy nasz dom. Zawsze, kiedy patrzę na te książki, wracam prosto do chwili, w której wyszliśmy z domu po raz ostatni. Zanim zostaliśmy wyeksmitowani z raj, jakim wydawał się nasz dom rodzinny, w którym wynajmowaliśmy pokoje gościnne letnikom, hodowaliśmy owce i uprawialiśmy warzywa, w którym dorosły nasze dzieci, który był dla nas całym światem przez trzydzieści lat. Zanim spór majątkowy z długoletnim przyjacielem skończył się w sądzie i spowodował, że wręczono nam nakaz eksmisji. Zebraliśmy tych kilka książek i zamknęliśmy drzwi, zostawiając za nimi dawne życie, by nigdy już do niego nie wrócić. Słuchaliśmy stukotu młotków, którymi komornicy zabijali wejście, i czuliśmy lęk, nie wiedząc, czy kiedykolwiek znów znajdziemy dach nad głową, oraz wszechogarniający smutek. Jeśli wiedziałabym, że to jedyne pudło książek, jakie zabierzemy w nasze nowe życie, pewnie wybrałabym inne tytuły. Szukałam czegoś, czegokolwiek, co przeniosłoby mnie poza te mury, poza kaplicę. *Praktyczny przewodnik grzybiarza*, niezłe, ale może nie w styczniu; *Outsider II*<sup>\*</sup>, zdecydowanie nie; *Five Hundred Miles Walkies*<sup>\*\*</sup>, książka, która zawiodła nas ku najbardziej nieoczekiwanej przygodzie. Nie, tylko jedna książka tu pomoże. *Szlak Południowo-Zachodniego Wybrzeża. Z Minehead do South Haven Point*, piękny przewodnik Paddy Dillona po liczącej tysiąc czternaście kilometrów trasie. To ta książka doprowa-

\* Głośna autobiografia brytyjskiego krytyka sztuki, dziennikarza i pisarza Briana Sewella (1931–2015), uważanego za najzabawniejszego krytyka artystycznego wszech czasów.

\*\* *Osiemset kilometrów psich spacerów* Marka Wallingtona to bestsellerowy zapis jego wędrowki przez South West Coast Path, Szlak Południowo-Zachodniego Wybrzeża, najsłynniejszą trasę wędrowek pieszych w Wielkiej Brytanii. Autor, z zawodu ogrodnik (a potem pisarz i scenarzysta w BBC), odbył tę podróż w towarzystwie swojego typowo miejskiego psa, kundla imieniem Boogie w 1982 roku.

dziła nas do Polruan, niczym kieszonkowy przyjaciel, gdy postanowiliśmy, że nie pogrążymy się w chaosie bezdomności, założyliśmy plecaki i przewędrowaliśmy całą opisaną przez Paddy'ego trasę; żyliśmy wśród natury, na klifach i plażach, bez dachu nad głową i bez grosza przy duszy.

Plastikowa okładka pozostała nienaruszona, strony spięte czarną gumką do włosów. Gdy otworzyłam książkę, sztywne kartki rozłożyły się jak kręgi, które rozchodzą się na wodzie, echo morskich odpływów na twardym piasku plaży. Pomiędzy kartki, czasem posklejane od deszczu, powkładaliśmy pocztówki, piórka, źdźbła traw, skrawki papieru, kwiaty. To wspomnienia szlaku, który opada ze szczytu klifów ku poziomowi morza i wznosi się ponownie jak dzika, szalona kolejka górską wzdłuż całego wybrzeża południowo-zachodniej Anglii. Przemierzający go wędrowiec wspina się w sumie na wysokość prawie czterokrotnie większą niż Mount Everest.

Posmarowałam tosta masłem i czekałam, aż zadzwoni telefon. Moth dzwonił, że przyjechał na uniwersytet, że nie siedzi w kafejce w Truro ani nie spaceruje po plaży nad zatoką Watergate, jak mu się zdarzało, gdy wyruszał na uczelnię, a potem zapominał, dokąd się wybierał, i postanawiał, że musi zmienić cel podróży. Wertowałam kartki książeczki, niemal na nie nie spoglądając. Zamknęłam między nimi oświetlone słońcem i osmagane wiatrem wspomnienia miesięcy spędzonych na szczytach klifów w przeróżnych warunkach. Przywodziła jednak i inne, mroczniejsze myśli: o smutku i bólu koszmarnego tygodnia, który sprawił, że ruszyliśmy na tę wędrowkę. Byliśmy wtedy tak innymi ludźmi, zdesperowaną, pełną niepokoju, przestraszoną parą, która próbowała zapakować do pudeł dorobek dwudziestu lat życia w ciągu zaledwie kilku dni danych nam na wyprowadzkę. Myśleliśmy wówczas,

że strata domu to najgorsze, co mogło nas spotkać. Zmieniłszy zdanie w tym samym tygodniu, w trakcie rutynowej kontroli lekarskiej. Światła w naszym życiu gasły jedne po drugich, a lekarz, który zasiadał przy rogu biurka, wyłączył ostatnie z nich.

Zamknęłam książkę. Czy naprawdę chciałam wracać do tamtego tygodnia, na nowo przeżywać ten horror? Za późno: już powrócił. Nie zdołałam uciec przed wspomnieniem, jak ciało Motha skurczyło się na wiadomość, że zdiagnozowano u niego nieuleczalną, neurodegeneracyjną chorobę, na którą nie ma żadnej kuracji ani żadnego lekarstwa. Nie zdołałam uciec przed lękiem, powracającym za każdym razem, gdy przypominałam sobie, że ból, który Moth odczuwał w ramieniu, drętwienie lewej strony ciała oraz z wolna opanowujący go mentalny paraliż nie wynikały jedynie ze starości, ale były objawami zwyrodnienia korowo-podstawnego, niepowstrzymanej, postępującej choroby, która wkrótce doprowadzi do śmierci. Lekarz malował ponury obraz: Moth miał zapomnieć, jak się przełyka, a potem zapaść na zapalenie płuc, wskutek którego udusi się własną śliną. W tamtym momencie uświadomiliśmy sobie, jak bardzo się pomyliliśmy: czekały nas rzeczy dużo straszniejsze niż bezdomność.

Znów nastawiłam wodę na herbatę. Powinien już dojechać, dlaczego nie dzwoni? Przerzucałam strony, delikatnie rozdzielając posklejane kartki; opisy Paddy'ego przywoływały obraz szlaku jak znaki przestankowe pamięci. „Droga odbija nieco w głąb łądu i pod górę”: roześmiałam się na wspomnienie, jak na początku wędrowki czytaliśmy to zdanie, patrząc na stromą ścieżkę, która pięła się zygzakiem po zboczu niemal pionowego klifu. W miarę jednak jak rozklejałam kartki, znajdowałam na marginesach notatki Motha; widziałam jego twarz, gdy ostatni blask słońca gasł nad horyzontem, dwie warstwy

zielonej kopuły namiotu – naszego wilgotnego nylonowego domu – zamykały nas w ciemności wieczora, a on w świetle latarki podnosił na mnie wzrok. Wciąż ten sam, dziki, nieposkromiony mężczyzna, którego kochałam przez całe dorosłe życie: siedział w śpiworze, a ja leżałam obok w swoim i spod ciężących powiek przyglądałam się, jak pisze. Widziałam, jak uśmiecha się, zapisując małe pajączki słowa na marginesach przewodnika, refleksje z dnia, który spędziliśmy na szczytach klifów i plażach, biwakując na półwyspach i skalnych półkach. „Biwak na Leskey’s Ledge, raczej w morzu niż nad nim”. „Jestem tak głodny, że zjadłem sucharka Ray, chyba nie zauważyła”. „Rozpiąłem suwak namiotu i odkryłem, że rozbiliśmy go metr od krawędzi klifu”. „Jeżyny”. „Morze jak syrop; stałem się morzem”. „Trzymałem Ray za rękę na krawędzi świata”. „Dziś spacerowałem z żółwem”.

Dotykając wyblakłych notatek zapisanych ołówkiem, znalazłam się tam razem z nim, pośród wiatru i deszczu, obserwowałam jego stopy, które podążały po ścieżce przede mną, zmierzały naprzód w nowy świat – świat uniwersytetu i kaplicy, gdzie szlak wybrzeża biegł tuż przed naszą bramą, gdzie czekałam, aż Moth wróci. Nie zadzwonił; gdzie się podział?

Powoli rozdzielałam kolejne kartki, aż dotarłam do strony sto czterdziestej: Portheras Cove. „Delfiny i wysoki przypływ”. „Biegłem, unosząc namiot nad głową”. „Czy to naprawdę?” Ten magiczny moment, gdy uświadomiliśmy sobie, że przypadek Motha zaprzecza opinii lekarzy, którzy twierdzili, że zwyrodnienie korowo-podstawne jest całkowicie nieuleczalne i stan pacjenta nie może ulec poprawie. Ta noc, gdy biegliśmy w górę plaży w świetle księżyca. Uciekaliśmy przed nadchodzącym przypływem, unosząc nad głowami w pełni rozłożony namiot; nauczyliśmy się znowu mieć nadzieję. Po

zakończeniu wędrówki, zanim Moth poszedł na studia, powiedzieliśmy lekarzowi, że stan zdrowia Motha się polepszył, że dokonał czegoś, co wszyscy eksperci od jego choroby uznawali za niemożliwe. Lekarz nie wydawał się zachwycony.

– Jeśli pan chce, proszę zacząć studia, ale należy się spodziewać, że będzie pan musiał je przerwać – powiedział, sugerując, że Moth może nie dożyć uzyskania dyplomu.

Nie uwierzyliśmy mu; nie chcieliśmy mu wierzyć. Jednak z upływem czasu wymagania stawiane na uczelni zmusiły Motha do siedzącego trybu życia; zdrowie i swoboda, jakich nabył na szczytach klifów, zanikały. W cichym chłodzie zimy sztywnienie powróciło, jego obolałe ciało zaczęło zwalniać. Każdy dzień zaczynał się teraz od walki, by stanąć prosto, od stawiania pierwszych, niestabilnych porannych kroków; uczucie nieuchronności znów wślizgnęło się ukradkiem. Z wahaniem musiał przyjąć opinię lekarza: niewykluczone, że nie zdoła ukończyć studiów. Na pewno ich nie ukończy, jeśli nadal nie będzie się pojawiał na zajęciach; może powinien zacząć go wozić na uczelnię i odbierać po wykładach? Nie ma mowy: ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, żyjąc z jego pożyczki studenckiej; nie mogliśmy pozwolić sobie na opłacenie benzyny, koniecznej, by pojechać tam i z powrotem. Potrzebowałam raczej jakiegoś lokalizatora, żeby móc go znaleźć. Zamknęłam książkę, przytłoczona smutkiem na myśl, że pewnego dnia Moth nie przypomni sobie, co robił. Dzień, kiedy choroba posunie się tak daleko, że całe to przejrzyste, magiczne, dzięki doświadczenie, które wspólnie przeżyliśmy, przepadnie na zawsze, a ja zostanę sama ze wspomnieniami. Dzień, kiedy przewodnik zostanie ostatnim dowodem na to, że naprawdę odbyliśmy tę wędrówkę.

Gdzież on jest, do cholery?



Włączyłam światło. Późny ranek; słońce już minęło punkt, z którego oświetlało wnętrze mieszkania, znów robiło się ciemniej. Dopiliśmy herbatę i usiadłam przy stole, wyglądałam przez wysokie okno kaplicy, które wychodziło na dwumetrowej wysokości mur ogrodu sąsiada. Niemal przesłaniał wszystko inne, ale powyżej widać było szpaler krzewów i magnolię. Z bluszczu wyłonił się duży brązowy szczur, spacerował po szczycie muru; zatrzymał się, obrócił łebek i wpatrywał się we mnie swymi okrągłymi oczami, aż w końcu wrócił, skąd przyszedł. Otworzyłam drzwi, by zobaczyć, dokąd się udał. Słyszałam go, ale nie widziałam; moim oczom ukazała się jedynie ściana bluszczu, okrywająca klif półtora metra od naszych drzwi. Podążyłam wzrokiem od ciemnego, wilgotnego korytarza zieleni w górę, śladem szelestu liści, przez bluszcz. Tam, ponad krzewami budlei i dachem kaplicy, przeświecał wąski pasek błękitu nieba, świat, w którym świeciło słońce, wiał wiatr, i wiedziałam, że muszę tam wrócić. Mroczne uczucie zamknięcia zmęczyło mnie, chciałam się z niego wydostać.

Chwycałam płaszcz i telefon, pospiesznie wyszłam na ulicę z zamiarem podążenia nią aż na otwartą przestrzeń klifów, jak robiłam codziennie, odkąd zamieszkaliśmy w kaplicy. Wąska uliczka, ledwie dość szeroka, by przejechał samochód, wydawała się pełna ludzi. Chodzili, rozmawiali, gestykulowali głośno. Przeszłam kawałek, ale nagle ogarnęło mnie uczucie paniki i przyłgnęłam do muru ogradzającego ogrody szeregowych domów, czekałam, aż ludzie przejdą. Co się działo? Nie rozumiałam, skąd to pulsowanie w głowie, zaczerwienienie skóry. To nie takie uderzenie gorąca, jakie zdarzały mi się wcześniej; co się dzieje? Czy jestem chora? Minęło mnie więcej hałaśliwych, zajętych czymś ludzi.

– Dzień dobry, ślicznie dzisiaj.

W odpowiedzi zdołałam wydobyć z siebie tylko ciche „dzień dobry”. Nie wiedziałam, co robić ani w którą stronę pójść; zerwałam się i pobiegłam z powrotem do kaplicy, głośno zatrzasnęłam za sobą żelazną kratę i zesłam w dół betonową alejką, znikając z oczu przechodniów. Położyłam się na podłodze i starałam uspokoić oddech; w głowie miałam mętlik. Łomotanie w czaszce stopniowo ustawało; uświadomiłam sobie, że przez rok, który przemieszkaliśmy z Mothem w kaplicy, praktycznie nie rozmawiałam z nikim prócz niego i dzieci, które dzwoniły albo odwiedzały nas od czasu do czasu. Gdy wychodziłam, nie odzywałam się, jeśli nie musiałam; gdy przebywałam z Mothem, to głównie on mówił.

Czy próbowałam z kimś porozmawiać, odkąd się tu sprowadziliśmy? Zdarzały się okazje do rozmowy w sklepie, gdzie kobieta za ladą pakowała moje zakupy i pytała: „Pani tu mieszka? Widzieliśmy panią parę razy. Skąd się pani przeprowadziła, pewnie z Kornwalii?”. Kilka razy mnie zagadywała, ale zawsze unikałam rozmowy, mruczałam tylko „dziękuję”, łapałam torbę i wychodziłam. Zdarzały się momenty, gdy ludzie zatrzymywali się na ulicy, żeby spojrzeć na wysoką, monumentalną fasadę kaplicy, i pytali o jej historię; odpowiadałam, że nie jestem pewna, ale Moth bez wątpienia wie wszystko na ten temat, po czym chowałam się za budynkiem i już tam zostawałam. Za każdym razem, gdy wychodziłam z mieszkania, ogarniał mnie stan alarmowy, uczucie hiperważności. Kiedy wędrowaliśmy szlakiem z plecakami wypchanymi całym naszym majątkiem, nie miałam żadnych problemów, więc jak to się stało, że teraz na wsi czułam się niewidzialna? Ostatnie ziarenko wiary w siebie, jakie odnalazłam w trakcie wędrowki, zniknęło, przepadło we mgle nadciągającej znad rzeki. Sie-działam tak, wściekła na siebie. To idiotyczne, by przez tyle

czasu unikać interakcji z ludźmi. Sprawy wymknęły mi się spod kontroli.

Znalazłam laptopa i włączyłam kanał medytacyjny, który ostatnio odkryłam. Guru siedział po turecku i przemawiał do mnie łagodnym tonem.

– Zrób wdech i podążaj za wydechem, skup się na oddychaniu. Pozwól odlecieć myślom, podążaj za oddechem.

Podążałam za oddechem. Byłam w tym dobra. Potrafiłam opróżnić głowę z myśli i skupić się na oddechu tak, jakbym się do tego urodziła. Ale nawet gdy oddychałam, do głowy wślizgnął się dźwięk, który nie chciał odejść. Głos jakiejś ukrytej części mnie, który nie zamierzał zamilknąć. Ten głęboki, rezonujący dźwięk brzmiał jak pytanie.

Zadzwoił telefon. Nareszcie.

– Gdzie jesteś? Nie powiesz chyba, że w St. Ives\*?

Ostatnim razem, kiedy Moth zapomniał, dokąd jedzie, zadzwonił do mnie z kawiarni na północnym wybrzeżu, godzinę drogi od uniwersytetu. Może tym razem podążył na zachód.

– Dzisiaj nie. Spotkałem na parkingu jedną ze studentek, w końcu zdobyła się na odwagę, żeby zapytać, co robię w Kornwalii i dlaczego studiuję.

Moth z trudem adaptował się do uczęszczania na zajęcia z gromadą dwudziestoparolatków; sprawiali wrażenie, jakby żyli w całkiem innym świecie.

– Nie mogę uwierzyć, że nikt wcześniej nie zapytał. Co odpowiedziałeś?

\* Miejscowość St. Ives leży prawie sto kilometrów od Polruan, na przeciwnym końcu Kornwalii.

– To, co zwykle mówiliśmy na szlaku: że sprzedaliśmy dom, a ja studiuję, by przekwalifikować się na nauczyciela.

– To nie kłamstwo, jedynie półprawda. Ale skoro już jej powiedziałaś, powtórzy wszystkim innym. Jesteś w stanie trzymać się tej wersji?

– Ratuje mnie od tłumaczenia, jak straciliśmy dom i zostaliśmy bez dachu nad głową; tak jest po prostu łatwiej, ale teraz pewnie pomyślą, że jestem jakimś krezusem, który przeżywa egzystencjalny kryzys wieku średniego.

– W sumie to tylko niewielkie nieporozumienie.

Opadłam na krzesło z uczuciem ulgi na wieść, że Moth znajduje się tam, gdzie powinien. Gdybym tylko potrafiła radzić sobie z tą zmianą w naszym życiu tak jak on! Moth w ogóle się nie zmienił, pozostał otwarty, dowcipny i zawsze miał w zanadrzu jakąś ciekawą historię, choć czasem zdarzało mu się zapomnieć, gdzie jest. Poszarpane, pogmatwane nitki naszego losu zaczynały splatać się w nową tkaninę, ale coś mnie dręczyło, zabierało spokój ducha. Nie tylko choroba Motha; coś jeszcze. Ciemna chmura myśli napłynęła wczesnym rankiem, gdy otworzyłam drzwi, spojrzałam w niebo i zobaczyłam jedynie cienki pasek szarości między kaplicą a skalną ścianą, gdy wyszłam na zatłoczoną ulicę i nigdzie nie mogłam być sama. Zazwyczaj w takie dni szłam ścieżką nad klify i zwracałam twarz do wiatru, by poczuć jego siłę, coś prawdziwego. Głos w mojej głowie stawał się głośniejszy, jak wiatr, który wiał w głąb łądy i niósł burzę od morza. A może to głos mojej mamy, który szeptał: „A nie mówiłam?”. Trudno powiedzieć.

Ścieląc sobie posłanie pod namiotem w pierwszych dniach nowego roku, myślałam, że rozwiązałam problem: po prostu brakowało mi znajomego biwakowego życia, teraz wszystko

znakomicie się ułoży. Wyśpię się; odzyskam siły i poczucie kontroli, znów zacznę skupiać się na tym, by żyć nowym życiem w miasteczku i pilnować, żeby Moth się nie zgubił. Skuliłam się pod zieloną kopułą w kącie sypialni, z dala od ludzi i świata, kompletnie nieświadoma, że zaledwie kilka dni później znajdę się w środku Anglii, dużo dalej od morza i namiotu, niż potrafiłam sobie wyobrazić.

### 3. Hiraeth

Śmierć krążyła po szpitalu, ale nie przystanęła przy jej łóżku. Spojrzała na nią, gdy siedziała wyprostowana, uczesana, w nowym, starannie zapiętym niebieskim kardiganie. Jeszcze nie, nie dzisiaj, nie w niedzielę. Dziś głęboki, świszczący odgłos zapalenia płuc przycichł; siedziałam przy jej łóżku, przeglądałyśmy kolorowy magazyn. Moth ledwo co rozpoczął nowy semestr, gdy zadzwonił telefon. Ze szpitala: jeden z tych, o których wie się, że kiedyś nadejdą, ale nie spodziewa się ich akurat tego dnia. Mama wylądowała w szpitalu z zapaleniem płuc; lekarze obawiali się, że wda się sepsa, więc powinnam przyjechać. Trzy dni później poczuła się lepiej i zaczęto wspominać, że może wypiszą ją do domu.

– Może jutro przyniosłabyś lakier do paznokci, żebyśmy wyglądała równie wspaniale jak te dziewczyny w żurnalu? Zajęłybyśmy się czymś. Zaczynam się nudzić.

Po zaduchu panującym w szpitalu ciemne, zimne powietrze styczniowej nocy niosło ulgę. Zamknęłam drzwi furgonetki, uruchomiłam silnik i pojechałam w stronę maleńkiego domku mamy. Po szosach środkowej Anglii, które znałam tak dobrze, że mogłabym poruszać się po nich bez świateł, w stronę ciepła kuchni mamy, do znajomych rzeczy w jej mieszkaniu. Do jej domu, który nie był moim. Mój dom, ten, który mnie ukształtował, uczynił osobą, jaką jestem, leżał w dolinie poniżej, ukryty w czarnej ciszy nieoświetlonego krajobrazu.

Czułam jego obecność, jak czuje się innego człowieka w tym samym pokoju. Jutro pójdę do szpitala później, może nawet po południu. Przedtem powędruję śladem własnych stóp sprzed lat, gdy były mniejsze, przez pola, które tak dobrze znałam.

Wysłałam w zimowy ranek w przyjemną ciepłą niszę na otwartym ganku z tyłu domu. Sięgnęłam na półkę, by odłożyć tam klucz, uważałam przy tym, by nie uszkodzić wyschniętego, zakurzonego jaskółczego gniazda. Ptaki wybrały doskonałe miejsce, poranne słońce najwcześniej rozprasza tu chłód nocy. Wrócą na wiosnę, załatają błotem pęknięcia w starym domu; będą wylatywać z gniazda za każdym otwarciem drzwi. Szłam przez ogród po zroszonej trawie, między nagimi gałązkami róż aż do ścieżki opadającej ku zasłanej mgłą dolinie. Niewiele widziałam, ale słyszałam kanadyjskie gęsi na jeziorze. Nie musiałam patrzeć; doskonale wiedziałam, co mogłabym zobaczyć. Grupy przybywających właśnie wiosennych ptasich imigrantów mąciły spokój gęsi, które prezimowały tutaj. Na razie przybysze nie zaczną budować gniazd, ale będą kłócić się o miejsce i jedzenie.

Za jeziorem, we mgle, towarzyszyły mi ich ciche nawoływania. Nagle wszystko odżyło: moje korzenie, dzieciństwo, źródło wszystkiego, czym byłam, krajobraz tak znajomy, że potrafiłabym w myśli wyrysować jego mapę, jak moją własną skórę. Nie skieruję się prosto do gospodarstwa: najpierw przejdę przez pola i popatrzę w dół na farmę, zatrzymam tę chwilę, nasycę się nią.

Minęłam tartak, w którym całe pokolenia mieszkańców wsi przycinały drewno na budowę domostw i płotów. Leżały tam truchła wielkich dębów, wiązów i buków; moim dziecięcym oczom wydawały się wielkie jak góry, nieskoń-

czone. Wszystkie zniknęły. Drewno pocięto, piły zabrano, szyby w dwuwarstwowych oknach powybijano, ani śladu róż przy drzwiach. Mgła zaczęła opadać we wczesnym żółtym świetle, a ja szłam pośród ciszy powalonych buków ku szeregowi domków i dalej, ku Górze. Z wysoka widziałam budynki, zajmowane przez pracowników gospodarstwa. Szkot cieśla i jego rodzina mieszkali w większym domu, z wielkim ogrodem pełnym warzyw, którymi żywiło się jego pięcioro dzieci; pośrodku hydraulik z żoną, której nikt nigdy nie widział; w ostatnim ogrodnik, który opiekował się ogrodem przy głównym domu. Gdy wspinałam się na wzgórze, oddalając się od domów, od strony nowocześniejszych zabudowań wyjechał pierwszy samochód: ktoś dojeżdżał do pracy w miasteczku. Wbrew temu, jak go nazywaliśmy, trawiasty stok nie był Górą, ale zaledwie polem na zboczu stromego pagórka. Wiedziałam, że go zobaczę, gdy odwrócę się tyłem do porośniętego drzewami wzgórze i spojrzę ponownie na dolinę. Wreszcie dom: połyskiwał bladym różem w porannym słońcu. Każdej innej osobie wydałby się jedynie odległym wiejskim domem; ja dostrzegałam szczegóły. Podzielone szprosami okna, kruszące się gliniane cegły, dachówki na dachu, a dalej, niewidzialna teraz, główna bryła domu prowadząca ku tyłowi, tworząca kształt litery T z przednią fasadą. Niemal słyszałam jego obecność.

Ruszyłam dalej przez High Ways, największe pole na farmie, zawsze rezerwowane pod uprawę. Spędzałam tam każde lato, podążając za kombajnem ziemniaczanym, który jeździł w tę i z powrotem wzdłuż zagonów i wykopywał białe ziemniaki o cienkiej skórce na wilgotną powierzchnię ziemi. Chodziłam schylona i zbierałam bulwy do wiadra, wysypywałam zawartość wiader do worków, worki trafiały na przyczepy, te zajeżdżały pod stodołę, ze stodoły ziemniaki zabierała ciężar-



rówka, a z ciężarówki trafiały do sklepów i budek z frytkami. Zimą, pośród mrozu, wilgoci i zimna obcinałam nacie rzep zakrzywionym nożem i wrzucałam je na niewielką drewnianą przyczepę, która zabierała warzywa na farmę, gdzie wrzucano je do szatkownicy i robiono z nich paszę dla byków w zagrodzie. Kiedy inne dzieci z mojej szkoły bawiły się zabawkami albo na placu zabaw, ja spędzałam dni na farmie. Z ubłoconymi rękami, wystawiona na słońce i wiatr, sam na sam z myślami. Przy tych rzadkich okazjach, gdy spędzałam czas wśród innych, czułam się, jakbym patrzyła na nich z oddali. Później, jako młodzianka nastolatka, myślałam, że chcę być jak moje szkolne koleżanki, skupić się na makijażach i ciuchach. Choć bardzo próbowałam, nie potrafiłam pozbyć się uczucia, że jedną nogą stoję na posadzce dyskoteki, a drugą w błocie.

Za polami uprawnymi zaczynał się wysoki las liściasty, w którym wiosną rozciągały się dywany dzwonek, a w lecie wzdłuż ścieżek wyrastały lepnice i trybula. Spędzałam całe dni na obrzeżach tego lasu. Jako dziesięciolatka powinnam bawić się z rówieśnikami, ale wolałam siedzieć sama w lesie i przyglądać się buszującym w trawie królikom. Setki dzikich brązowych królików pasły się na łąkach i buszowały w polu oziminy jak szarańcza. Lubiłam poczucie siły, gdy tak stałam przy płocie, niemal niewidoczna zza ostatniego słupka, czekałam, aż zobaczę brązową mgiełkę na zboczu wzgórza; wybiegałam wtedy z kryjówki i klaskałam w ręce, i czekałam, aż armia królików podniesie łebki znad jedzenia i ucieknie do swoich nor, jak brązowa woda spływająca do zlewu. Gdy podrosłam, przestałam klaskać, przyglądałam się tylko godzinami hierarchii panującej w ich brązowym świecie. Starsze króliki wypuszczały się głębiej na pole, młode trzymały się blisko wejścia do nory. Niektóre pełniły funkcję strażników: te zwierzęta nie przykucały, żeby jeść, cały czas trzymały się

prosto, rozglądały, nasłuchiwały i w razie potrzeby podnosiły alarm. Uderzały silnymi tylnymi łapami w ziemię, tupały głośno, co dawało sygnał wszystkim pozostałym, które przestawały jeść, jak jeden mąż biegly do swoich nor na zboczach wzgórz i znikaly.

Gdy doszlam do chatki gajowego na skraju lasu, rozejrzałam się po polu, ale zobaczyłam tylko zieleń. Przystanęłam i instynktownie klasnęłam w dłonie, spodziewając się poruszenia brązowych ciał. Nie widziałam ich jednak; w zimnym, wilgotnym zimowym powietrzu pole trwało w bezruchu. Gajowy trzymał tu myśliwskie psy, foxhoundy; mieszkaly w budach na oddzielnych podwórkach, ogrodzonych wysoką żelazną balustradą. Za każdym razem, kiedy ktoś przechodził, psy ujadaly głośno, a ich szczekanie niesło się echem po dolinie. Silne, muskularne, potężne psiska; ale kiedy gajowy przechadzał się pomiędzy nimi, lizaly jego dłonie, jak domowe zwierzątka proszace o smakołyki, a nie bezlitośni mordercy. Widziałam raz, jak rozszarpały lisa i od tamtej pory nikt mi nie musiał przypominać, żeby nie podchodzić za blisko; za żadne skarby nie zbliżyłabym się do tych psów.

Chatka gajowego stala na najdalej położonym skraju pola zwanego Parkiem, gdzie trzymano owce w sezonie narodzin jagniąt. Pole opadało w dół za domkiem i tworzyło trójkąt pomiędzy lasem a zagrodą dla psów; tam właśnie przychodily owce. Oslaniała je ściana lasu, ale w nim, tuż za linią drzew, czaily się lisy; z drugiej strony mieszkaly psy myśliwskie, od których owce uciekaly wystraszone. A jednak dzień po dniu maciorki wybieraly to miejsce, gdy jagnięta lada chwila mialy się urodzić. Podejmowaly tę decyzję, ufajac, że myśliwskie psy nie dopuszczą lisów, bo kiedy czuly się najbardziej narażone na krzywdę czy atak, schronienie okazywalo się najważniejsze. Paradoksalny azyl na skraju lasu. Teraz jednak ogrodzenia

dla owiec zniknęły, a przed chatką gajowego stał nowiutki samochód z napędem na cztery koła. Jeszcze coś się zmieniło. Kiedy przechodziłam przez teren tak znajomy, że wydawało się, że opuściłam go ledwie wczoraj, czułam, że jest inaczej. Wieśniacy zniknęli, zastąpili ich emeryci i ludzie dojeżdżający do pracy do miasta: wieśniacy, stanowiący serce tej osady, odeszli. Wyprowadzili się dawno temu; jednak coś jeszcze uległo zmianie, coś, czego nie potrafiłam dokładnie określić. Zbyłam tę myśl, dochodząc do wniosku, że może to ja jestem inna i inaczej reaguję na znajomą okolicę, spoglądam na nią innymi oczami.

Do Parku. Kiedy stary dom stanowił główną siedzibę na terenie gospodarstwa, tu znajdowała się jego brama frontowa, ze żwirowym podjazdem obsadzonym dębami. Ale w osiemnastym wieku zbudowano nowy dwór, a stary stał się jedynie zapomnianym domem na farmie. Dęby zostały tylko dwa, ich kora popękała ze starości, konary się powykrzywiały, ale wciąż sięgały ku niebu, ciągle poszukiwały ostatnich promieni słońca. Wybrzuszone korzenie wystawały z ziemi wokół podstaw pni: jeden z nich wyrastał tak wysoko nad ziemię, że tworzył masywne siedzisko. Usiadłam tam, by mieć najlepszy widok. Słyszałam echo własnych dziecięcych kroków, godzinami okrążających drzewo w ostatnie dni lata, przeskakujących z korzenia na korzeń, jak z kamienia na kamień przez nurt strumienia. Krążąc tak, nie czułam nigdy nudy ani apatii, raczej coś innego – jakby fascynację.

Oto i dom. Leży w kotlinie, na samym jej dnie, w najgłębszym miejscu. To stąd rozchodziły się wszystkie ścieżki mojego życia i podążały w górę, coraz dalej. Słońce stało teraz wyżej na niebie, cegły w ścianie straciły różowy poblask i jaśniały swoim prawdziwym cynobrowym odcieniem. Za każdym razem, gdy pokonywałam tę trasę i siadałam w tym miej-

scu, coś mnie zaskakiwało. Spoglądając w dół, spodziewałam się zobaczyć ogromną wierzbę płaczącą, która rosła od frontu i zasłaniała fasadę domu, skrywała jego sekrety. Gdy zamykałam oczy, słyszałam szum jej gałęzi, zwieszających się cienkimi wtkami aż do ziemi. Jako dziecko biegałam ku zielonej kurtynie, moje małe rączki łapały naręcza cienkich jak różgi pędów, huśtałam się na nich przez całą wysokość drzewa albo tylko zwiślałam i obserwowałam, ukryta w liściach. I głos mamy:

– Zejdź stamtąd! Ile razy mam powtarzać?

Ale ja nie schodziłam; huśtałam się w zieleni aż do mocnej gałęzi i przez delikatne szumiące podłużne listki obserwowałam, jak mnie szukali, odsłaniałam wierzbowe witki niczym frankę.

– Trzeba to przyciąć. Przytnij tak, żeby nie mogła dosięgnąć.

Odtąd każdej wiosny skracano gałęzie, aż witki wisiały jak włosy przycięte krótko na pazia. Wierzba jednak odrasta szybciej niż jakiegokolwiek inne drzewo i w połowie lata liście znów zamiatały po ziemi, a życie pod zieloną kurtyną należało do mnie.

Dzwonek komórki w kieszeni przywrócił mnie do rzeczywistości. Ledwo otworzyłam oczy, głos mamy odpłynął, drzewo zniknęło, fasada domu stała naga: twarz o pięciu oknach i ozdobnych odrzwiach w stylu króla Jerzego, do których prowadziły wypolerowane stopnie. Nic nie da się już ukryć, żadne tajemnice nie schowają się pod liściastym welonem.

– Pani mama miała udar. Powinna pani jak najszybciej przyjechać do szpitala.

– Ale jak to? Miała zostać wypisana we środę. Mówił pan, że czuje się lepiej.

– Proszę po prostu przyjechać, porozmawiamy na miejscu.

Znów znalazłam się w duszącym gorącu szpitalnych oddziałów; pielęgniarka poprowadziła mnie do biura, gdzie czekał już lekarz.

– Pani mama miała udar, całkowity zawał mózgu w przednim obszarze unaczynienia. To bardzo poważny udar i nadal postępuje.

– Postępuje? Ale przecież ona jest w szpitalu. Podajcie jej leki, żeby go zatrzymać.

Lekarz potrząsnął głową; jego mina wyrażała jednocześnie współczucie i irytację.

– Ale przecież sami piszecie w reklamach, żeby działać szybko, no wie pan, „act F.A.S.T.”\*<sup>1</sup>, bo wtedy można chorego uratować. Ona jest w szpitalu; szybciej działać już się chyba nie da! I co to, na miłość boską, znaczy zawał w przednim obszarze?

– To szeroki udar korowy. Nie możemy stwierdzić, jak bardzo szeroki, dopóki nie zrobimy tomografii, ale już można powiedzieć, że jest poważny i rozległy.

– Rozległy?

Kiedy przywieziono ją z powrotem do pokoju, mama leżała nieruchomo na łóżku. Wszyscy pozostali pacjenci przyglądali się jej ze swych łóżek w milczącym czuwaniu; widziałam dezorientację na ich twarzach. Znajdowaliśmy się na oddziale chorób płuc; przywykli tu do masek tlenowych i pielęgniarek,

\* Dosł. „działaj szybko”, ale przekład nie oddaje instrukcji diagnozowania, zakodowanej w angielskim akronimie. Na udar mózgu wskazują następujące objawy: F jak *face*, twarz – należy poprosić chorego, by się uśmiechnął, i sprawdzić, czy jedna strona ust nie opada; A jak *arms*, ramiona – pacjent ma wyciągnąć ramiona na boki, co pozwoli ustalić, czy jedna strona ciała jest niewładna; S jak *speech*, mowa – niewyraźne, zaburzone wypowiedzi wskazują na udar; T jak *time*, czas – trzeba natychmiast wezwać pogotowie.

ale nie do takich sytuacji. Pielęgniarka zaciągnęła niebieskie zasłony, zostałyśmy same. Ujęłam dłoń mamy, pozbawioną życia i bezwładną. Lekarz wrócił z wynikami badań i zaczął mówić przyciszonym głosem:

– Wygląda na to, że jest zupełnie pozbawiona czucia w ciele. Jak wspomniałem, to całkowity zawał przedni, ma taki skutek jak uderzenie młotkiem w głowę. Niektóre z jej organów wciąż funkcjonują, w tym płuca, ale nie wiemy, w jakim stanie jest mózg; prawdopodobnie kompletnie straciła przytomność. Nic się nie da zrobić. To długo nie potrwa; wkrótce odejdzie.

Odgarnęłam włosy znad zamkniętych oczu mamy. Zawsze tak dbała o fryzurę. Schludnie przycinała włosy, poddawała je trwałej ondulacji, a potem co tydzień nawijała na wałki. Nawet na polu ziemniaczanym nakrywała chustą utrwalone lakierem loki. Gdy byłam nastolatką, wiele z naszych kłótni dotyczyło stanu moich włosów.

– Mamo, słyszysz mnie? Jestem tutaj.

Trzymałam jej bezwładną dłoń w swojej, gładziłam palce, wciąż szerokie i silne.

– Jestem tutaj.

Z wolna otworzyła oczy, usta się poruszały, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mimo to widziałam wszystko w jej szarobłękitnych oczach: strach, zmieszanie, panikę spłoszonego dzikiego zwierzęcia.

– Mamo, jesteś na oddziale w szpitalu, miałas udar, ale wszystko w porządku, jestem tutaj.

Wtedy dostrzegłam grozę w jej oczach, gdy mnie rozpoznała, a mnie serce podeszło do gardła. Żyła, obecna, ale uwięziona we własnym ciele.

– Zamknij oczy, mamuś, spróbuj zasnąć, to pomoże.

Komu pomoże? Jej na pewno nie.

Gdy spała, obciąłam jej paznokcie i starannie nadałam im kształt pilnikiem, po czym pomalowałam jej ulubionym, perłoworóżowym lakierem. Gdy skończyłam, ułożyłam jej ręce z powrotem na łóżku; różowe paznokcie dziwacznie nie pasowały do szerokich dłoni. Światła przygaszono na noc, a ja siedziałam w błękitnym kokonie i obserwowałam, jak liczby wyświetlane na ekranie kontrolnym rosną i maleją.